

Ballada o szczęśliwej wsi

Zielona wiosna klaszcze w dłonie.
Świt jak pąk róży się rozchyła.
Szumią strumyki. Jeszcze chwila,
a już na niebie słońce płonie.

Lśnią się pastwiska i polany.
Dzwoneczki była srebrnie dzwonią.
Dobrze pracować młodym dłoniom,
gdy obszar w słońcu wykąpany.

Bratki, konwalie i nasturcje
tysiącem lśnień i barw się żarzą.
Szczęść Boże — mówisz gospodarzom,
gdy mijasz biały dom przy furcie.

żyje wesoła wieś, okryta
błękitnym niebem, ciepłym słońcem.
Znajomy dźwięk powietrze trąca:
to z nieba jasny ptak wykwita.

Więc dźwięczą dzwonki, a skowronki
niosą pogodę w dzióbkach małych.
Na ziemi połyskują biało,
radośnie lśnią spółdzielcze domki.

Już pachną sady, kwiaty rosną,
kosa swą ostrą pieśń wydzwania.
To obszar pracy i zbratania
ręce jednoczy w dłoń radosną.

I sieją siewcy, kwitną pola.
Dzień za dniem idzie, krok
za krokiem.

Coraz pełniejszy rok za rokiem.
Coraz obficiej rodzi rola.



Cokolwiek się czyni, czynić trzeba z jasną świadomością celu tego czynu
i z pasją, by ten czyn był doskonały. Cokolwiek człowiek robi, niech robi
tak dobrze, jak tylko może, jak jest naprawdę zdolny. (St. Witkiewicz)

Kiedy jesieni czas czerwony
dzwoniące liście już wyzłaca,
to jeszcze żywiej tętni praca,
jeszcze bogatsze płyną plony.

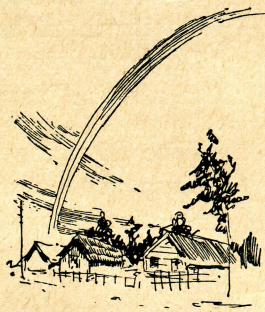
Rumiani, zdrowi, uśmiechnięte,
rękami brązowymi znoszą
jabłek dostałych pełne kosze
radośni chłopcy i dziewczęta.

A tu już niebo coraz niższe,
szeleści liściem w lesie stopa
i deszczem spływa już listopad
i biała zima coraz bliższa.

Bezlistne drzewa drżą na wietrze
i chociaż deszcz srebrzysty spływa,
tętni radosna i szczęśliwa
wieś, chociaż niebo coraz
bledsze.

Bo po tym deszczu najbłękitniej
nad wsi szczęśliwej jasny krąg
wезде braterstwem
i zakwitnie
tęcza złączonych, dzielnych rąk.

Kamil Wątróbka



Jakże mało kto uprzytamnia sobie, że w dziedzinie społeczno-gospodarczej, politycznej czy moralnej pojawiają się od czasu do czasu na świecie cenne i twórcze wartości, które ludzkość zawdzięcza prostym i nieuczonym ludziom pracy, podobnie zresztą jak takim samym ludziom zawdzięcza i pierwociny chrześcijaństwa. Mam tu w tej chwili, oczywiście, na myśli spółdzielczość. I to spółdzielczość nie tylko jako imponujące już dziś życiowe osiągnięcie — od której to strony będziemy jeszcze o niej mówić — lecz spółdzielczość jako pomysł, wynalazek i odkrycie, nazwane przez Karola Gide'a cudownym. I w tym słowie nie ma wielkiej przesady. Myśl spółdzielcza, jako siła zdolna się urzeczywistniać i przekształcać realne stosunki, to istotnie odkrycie równie ważne i epokowe jak odkrycie Ameryki, jak wynalazek druku i maszyny parowej czy odkrycie elektryczności. (M. Dąbrowska „Ręce w uścisku“)

Rachunki pani Agnieszki

Któregoś dnia po święcie Narodzin Dzieciątka pani Agnieszka Ligęza, bogaczka osady, właścicielka fabryki, domu i sklepu z złożonym napisem „Dewocjonalia“, wydała ostatnie rozporządzenia na czas martwego sezonu. Drzwi odlewni zamknięto, sale wykończarek i malarnie opustoszały, ogień wygasł pod kotłami z gipsem. Puste formy poukładano w porząd-



ku i wreszcie pracownicy rzekli: — No, ostaną z Bogiem i do rychłego zobaczenia!... Tylko w rysowni tkwił nad stalugami artysta tworząc nowe projekty posągów i obrazów, a stary domownik Alojz wałęsał się pod oknami magazynu. Ostawiwszy sklep na opiece panny Elzy, sklepowej, pani Agnieszka udała się na górę do swoich komnat. Wdowa Misztol, gospodyni otrzymała polecenie opalania wszystkich pokoi. Tedy wiedziała już, że pani będzie wypoczywać i ustawiła w oszklonym wykuszu wygodny fotel i stoliczek. Na wszelki zaś wypadek półkę z książkami handlowymi umieściła opodal, by je pani miała pod ręką.

Tu siedząc, w wygodnych domowych kapciach z pomponami i w szlafroku, mogła pani Agnieszka rozkoszować się do-

Natchnienie jest jak wichur: porywa i łamie,
Zapał jest jako płomień, lecz trzeba podpału,
a praca jest jak fali rytm na oceanie;
praca przetwarza ziemię stale, choć pomalu.

woli spokojem nie tracąc z oczu życia i świata. Dom bowiem stał przy głównej ulicy osady, stąd widziało się wszystko jak na dłoni, a każdy, kto szedł do kościoła, do Cudownego Obrazu, musiał przejść obok pięknego domostwa Ligęnzów, przy czym nie minął go, aby nie przystanąć i nie obejrzeć wystaw.

Te pierwsze dni wypoczynku sprawiły Pani Agnieszce wiele przyjemności. Nareszcie mogła bez pośpiechu smakować jądro przyglądając się pięknym sprzętom i cieszyć dostatkiem. Otwierała szafy i skrzynie przerzucając stosy płócien i lśniących adamaszków, snuła z kłębów wielometrowe koronki cieniutkie jak pajęczyna, rozkładała hafty z Żywca. Kredens z kryształami też zabrał jej dużo czasu: brała do rąk każdą sztukę z osobna, ocierając miękką szmatką i przyglądała się z dala szkłu, które grało w ciemnym wnętrzu szafki tysiącem barw.

Lecz w końcu opatrzyło jej się to wszystko, a porządek i cisza domu jęły skłaniać do rozmyślań. Nie wiadomo kiedy i jak od projektów sprzedaży letniej, targów, zysków, planów, rysunków nowych modeli, cen na farby i pozłotki przeszła do rozmyślań nad sobą i nad swym życiem. Stała jej w myślach ma lutka domek z izbą fabryczną, którą odziedziczyła po krewniakach, i wszystkie te lata aż do dnia, w którym zakładano fundamenty pod dzisiejszy „pałac Ligęnzów“. Policzki jej aż się odęły z dumą: no ja, ja, dokazała wiele!... naharowała się silnie!... głową nakręciła nie mało!... Nogi miała popuchnięte, a odmrożone ręce nie wygoiły się do tej pory.

Nagle zmarszczyła brwi nie mogąc się opędzić przed natrętą myślą, iż wszystko to na nic się nie zdało!

Zbudowała wielki i piękny dom — a jest w nim sama. Jedyna córka jej Elżbieta wywędrowała na naukę do miasta. Zgromadziła dostatek i majątek, ale Elżbieta nie dba o to. Poślesz jej pieniądze to dobrze, a nie poślesz — drugie dobrze. Maluje, rysuje i daje lekcje, żyje po swojemu, a pieniądź wcale a wcale nie ma nad nią władzy i znaczenia... Pani Agnieszka sięgnęła po książkę chcąc sprawdzić, ile to w ostatnim roku po-

Nie trzeba być ofiarą, aby żyć ofiarnie,
nie trzeba dać wszystkiego, ażeby dać wiele.
Im hojniej dłoń otwarta, tym więcej przygarnie.
Ofiarność rąk jest serca największym weselem.

słała Elżbiecie, ale spoglądając na cyfry toczyła w sobie ten inny rachunek, inne obliczenie, w którym stało jasno wszystko od jej pracy i wysiłku poczynawszy aż do natury Elżbiety. Tak więc mogła sobie powiedzieć, że wygrała, ale i że przegrała w najważniejszych swych obliczeniach. Rachunki w jej kasie zawsze się zgadzały, zawsze były rychtyk — zaś ale obliczenia jej życia osobistego nie styknęły się z sobą ni i ni!...

I ogarnął ją taki niepokój, że już nie mogła wysiedzieć w swoim fotelu. Zapragnęła ruchu i zarzuciwszy ciepłą chustę na ramiona zeszła na dziedziniec. Lecz pustka i szczupłość miejsca niemile ją uderzyły. Kroki jej dźwięczały ostro i zgrzytliwie na marmurowych flisach, echo uderzało pod podziemia krużganku. Ano, ona miała w sobie o wiele za dużo zdrowia i siły, aby drepcić tu w kółko. Tak samo za wiele w niej było jeszcze chęci do pracy i działania!... Izto, nie mogłaby usiedzieć z założonymi rękoma, musi dalej pracować i kręcić głową, zaś przed momentem postawiła sobie pytanie: — po co? i pytanie to w niej tkwi.

Wdowa Misztol ujrzała nagle z okien kuchni jak jej pani niecierpliwym krokiem zmierza do bramy i podąża na drogę do osady fabrycznej. Przede samym podwieczorkiem!... Akurat piekarz wyjechał z swym wózkiem, wołając i dzwoniąc: żeruły, kołaczki!... dym jął się snuć z kominów, a z oberży „pod Aniołem“ zaleciał zapach kawy. A tu pani Agnieszka, całkiem niewystrojona, wybrała się na przechadzkę.

Roku tego nasza na świat i osadę zima przejmująca, cicha i przykra, z niebem ołowianym, co zawisło nisko nad ziemią. Śnieg, który przypruszył trocha, osiadł cienkimi pasmami na stokach hałd, iż wydały się jeszcze bardziej czarne, chropawe i puste. Idąc drogą osadzoną topolami obok pól gołych i ciemnych pani Agnieszka wstrząsnęła się na ów widok niewesoły. Ludzi prawie nie widać!... Tylko sterczy bezdymny komin fabryki „Aluminium“, a za niskim parkanem obszar cynkowni „Biała“ sieje pustką. Nawet przed komórkami brak jest kobiet klektających zawzięcie o nowinkach dnia.

Wytrwałość jest podstawą wielkości i pracy,
wytrwała kropla wody żłobi twarde skały,
wytrwałość tysiąckrotnie trud wszelki oplaci!
Zdobywa nimb geniusza ten, kto jest wytrwały.

— Ano, musiało ich fest przycisnąć!... — westchnęła sobie pani Agnieszka.

Im bliżej osady, tym bardziej dawał się we znaki ów nastrój przynębiający. W wspaniałym Domu Kolonialnym kuzyna Haleczki panuje pustka, Herminia drzemie za kasą. W wielkim Domu Towarowym sam szef Kowohl stoi na stop-



niach, zda się wypatrywać klientów. Pani Agnieszka wstępuje na moment, aby zasięgnąć języka, siada na stołku obok wielkich paczek wełny i włóczki, tryska jakimś żarcikiem; za chwilę już wie. — Ano — rzecze Kowohl — przycisnęło ich nie na żarty, dość powiedzieć, że wełna nawet nie odchodzi, choć dzieciśka latają bez pończoch.

Zaś jeszcze musiało paść na ludzi jakieś zniechęcenie ogromne w ów czas bezrobocia, jeżeli nawet kobiety przestały się bić z losem. Pani Agnieszka i Kowohl zamienili słów kilka o przyczynach i skutkach zastoju, lecz niewiele się i mogli wymądrzyć, skoro mądrzejsze głowy tak oto ów świat urządziły. — Ano, — rzekła pani Agnieszka — nie idzie ci jedno, chwyć się drugiego, trzeciego i czwartego. I spytała lekko:

— Po czemu zaś ta nić wełniana?

Kowohl wymienił cenę. Pani Agnieszka krzyknęła: — chyba żartujom sobie?! Kowohl się zarzekł: — gdzie mu tam żar-

ty w głowie!... Pani Agnieszka jęła go motać pytaniami, przygważdżać cenami w fabryce, w sklepach katowickich, kosztem przewozu, wysokością zarobku w hurcie i detalu. Kowohl broił się i wywijał, aż wreszcie zdumiony spytał:

— Czy zamiarujecie, pani Agnieszko, handlować i wełną?...

— Bierzę to! — rzekła pani Agnieszka — po mojej cenie! Chcecie to bierzcie, a nie, to niechaj leży dla moli!... No?...

Zaczął się targ, podczas którego Kowohl aż ochrypl, a pani Agnieszka rozbawiła się na dobre. Ano, nic w tym dziwnego, on sprzedawał, ona kupowała i bawiła się tym wielce. Wreszcie przed samym zamknięciem handlu osiągnęli porozumienie i pani Agnieszka wychyliwszy się za drzwi zawołała:

— Synek! A chodź tu jeden z drugim, pomóż-że mi dźwigać!

Chłopaki bawili się nieopodal i poskoczyli usłużnie. Była to gratka — wejść w dom Ligęnzów i obejrzyć te wszystkie cuda!... Zaraz też ruszył pochód w stronę osady kościelnej. Kobiety jedna za drugą przystawały, pytając: co zaś się stało?... Pani Agnieszka, z wełną w ramionach, dysząc, potrząsała głową. Powzięła plan, lecz zamiysł jej rysował się mgliście, ona zaś zwykła przystępować do roboty, gdy już wszystko uszykowane miała w głowie!... Naprzód chodziło jej o to, by zaprzętać kobiety, by puścić ich ręce w ruch, potem zaś zaczął się majaczyć zarobek, zaś dalej widziała sklep czy stragan, gdzie znów handel zacznie. Ona? nie ona? co zaś jej po tym?... Ni, ni, miało to być coś nowego, stworzonego z całą gromadą, ni twoje, ni moje a pospólne. Teraz w głowie jej się całkowicie rozjaśniło, a głos nabrał siły, gdy zaganiała swych tragarzy, wołając:

— Dążcie w przódku! w przódku! przede mną! Byście zaś nie pogubili!...

Wdowa Misztol w głowę zachodziła, gdy jej kazano kuchnię wyporządzić, stoły i stolki poustawiać, kawę zaparzyć i ogień podsycać, by nie wygasł. I jak się to rozeszło po osadzie kopalnianej, że pani Agnieszka robotę wydaje?... Wieczorkiem jęły ciągnąć niewiasty w stronę domu Ligęnzów, nie zaś do sklepu, jeno wejściem bocznym. Dziedzinec rozgrzmiał krokami, a w kuchni zabręczało od rozmów. Ano, jeśli chodzi o druty, władały nimi biegle, wprost łykały ślinkę patrząc na wełnę rozłożoną na stołach. Potem jęły się użalać: tak już z nimi źle, że dziać pończoch i skarpet nie mają z czego!...

— Ano, to macie i działajcie — rzekła pani Agnieszka.

Po raz to pierwszy przystępowała do interesu nie w ciszy swego kantorka, lecz w gromadzie ludzkiej i z początku brakło jej słów, aby rzecz wyjaśnić. Ale wnet migot i brzęk drutów rozwiązał języki, a ciepło i bliskość sprzęgająca ludzi sprawiła, iż pomysły zaczęły się snuć jak snuje się nić z kłębka. Pani



Agnieszka dorzucała trafne słówka, godząc w sedno rzeczy i pobudzając do myślenia. Wełna kosztuje tyle a tyle, gotowa zaś kamizela męska czy sweter dziecięcy — tęgi kawał grosza. A przy tym — co za lichota, pruje się i rozłazi, miesiąca nie przetrwa!... Zaś skarpety fabryczne?! Śmiech o tym powiadać!...

Kobiety przytakiwały: — No, ja, ja, majom recht! tak ci jest po prawdzie!... Aż się ugadały, żeby tak robić, żeby tak nie tylko dla się, ale i na sprzedaż!... Na targ wynosić, stragan mieć!... Pani Agnieszka wzięła i poprowadziła je za rączkę aż do tego miejsca, gdzie sama przez się wyłoniła się spółdzielnia.

— Coś takiego — rzekła, otwierając swój złożony patyczek i patrząc na kobiety przez szkiełka okularów — ni moje, ni twoje, a dla siebie i wszystkich, wiedzom to?... Zysk się rozdzieli.

Pola Gojawiczyńska

Opowiadanie starego ślązaka

Na grubie pszet piendziesiont lot

Dawniej boło na grubach blank inakszy niż dzisiej. Berkmany robili na dwanoście godzin. Kożdy dzień rano zbierali się łoni f cechowni, kaj żykali i śpiywali do świentej Barbórki. To tfało łokoło pół godziny. Potym sztajger fszyskich przewołoł, kożdy dostał swój nomer i musioł zlazować pod ziemia po drabinach z lampkom łolejowom w rynce. Jak jusz berkmany sjechali, musieli is pora kilometróf na bon. Tukej szlepry brali wóski i jechali do pszotkóf po wągłe, które wykopowali berkmany. Berkmon taki leżól na ziemi i potkopowoł wągłe kilofym tak daleko, jak ino móg sięgnąć. Na wyrchu wywiertoł dziura i fklodoł do niyj patrona i ździebło, nafilowane prochym. Z jednej strony boło łone zalepione smołom i łopwinione knotem ze siarkom. Tyn knot berkmon zapoloł i wołoł „poli się!“ Kożdy, kto ino to usłyszól, zaroz uciekoł. Kożdy berkmon musioł wydać na szychta dwanoście beczek wągło, to boł jego col. Łot kożdy beczki boł dynk trzydziyści fyników, ale stego łotciągali mu jeszcze za materyja i proch. Te beczki abo wóski ciągli szlepry na bon, a stont zabiyroły je konie pod szyp na szola, a maszyniok wyciągoł je na wyrch. Teroz łotbijacz ściągoł je ze szoli, a dziolchy cisły je na retry. Potym suły to wągłe do wypróf, a stont szło łono jusz na fury.

Tekst opowiedziany w r. 1930 przez Adama Sikorę, lat 70, zamieszkałego w Świętochłowicach. Spisała Anna Sikorzanka, uczennica Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego w Chorzowie.

KSIĄŻKA, Z KTÓRĄ WARTO SIĘ ZAZNAJOMIĆ

Książka znakomitej pisarki polskiej Marii Dąbrowskiej pt. „Ręce w uścisku“ jest przystępnym i pięknym opowiadaniem o ideałach, dorobku i możliwościach spółdzielczości. Autorka ukazuje niezwykłość, siłę i piękno naszego ruchu, nie tylko doprowadzonego do rozkwitu, lecz wynalezionego jako pomysł i idea przez prostych i ubogich ludzi pracy. Czytelnik zapozna się z pracy M. Dąbrowskiej, jak pokazanie przedstawiają się już dziś wyniki gospodarki spółdzielczej, ujęte cyfrowo, przemierzy wraz z autorką całą Polskę spółdzielczą, zapoznając się z ciekawymi placówkami i wytwórniami spółdzielczymi. Jeszcze ważniejsza jest może druga część książki, która ukazuje bezpodstawność szeregu zarzutów stawianych spółdzielczości. Oświetla ona jasno istotę i cele ruchu spółdzielczego i ukazuje, że jest on jednym z najpotężniejszych i najbardziej skutecznych dźwigni na drodze ludzkości.

Historia o szarym człowieku

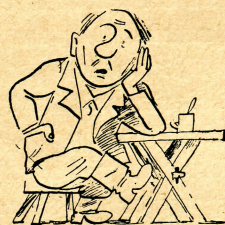
Żył raz sobie pewien człowiek,
Co ni dobry był, ni zły,
Ani w szczęściu, ani w biedzie
Szare mu płynęły dni.

Ni wesoly, ni smutny był,
Ani martwił się, ni śmiał,
Żył dla siebie, tak jak gdyby
Rybą był... Ot: jadł i spał,

Nic głupiego nie powiedział,
Ni mądrego nic nie rzekł,
Ni bogaty, ani w biedzie —
Ot po prostu: szary człek...

Każdy kolor ma swój polar.
Szarość — szara. Tak ni siak.
Od szarości wszyscy wolą
Kolorowy jakiś znak.

A już za to ja wam ręczę
I to każdy powie wam:
Najpiękniejszy znak, co tęczę
Wszystkich barw jednako gra.



We wsi rażno dźwięczą kielnie,
Huczą młoty, wre robota,
Bo buduje się spółdzielnię,
A buduje ją spółnota...

Ta spółnota wszystkich ludzi,
Którzy jeden widzą cel,
Która wiarę w przyszłość budzi
I wskazuje jasne dni.

Lecz człek szary nic nie wiedział..
W szarym swoim domu siedział,
Ni się martwił, ani cieszył,
Ani modlił, ni złorzeczył.

Aż raz... Nie wiem jak to było,
Może go namówił kto?
Lecz tak jakoś się złożyło,
że zakochał się... Ot co...

Ale jego ukochana,
Gdy ją o miłości znak
Błagał, klęcząc na kolanach,
Powiedziała mu wprost tak:

Nic cię w świecie nie obchodzi,
Swego nosa patrzysz wciąż...
O, nie taki będzie chodził
Przy mym boku jako mąż.

Nie wiesz nawet, że spółdzielnię
Już buduje cała wieś,
że pracują wszyscy dzielnie —
Więc ty też w tym udział weź.



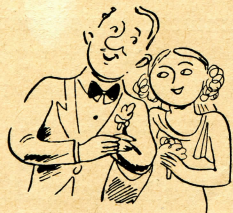
Szary człek się zastanowił
I uderzył palcem w łeb
I poskrobał się po głowie
I zrozumiał, że jest kiep...

Do spółdzielni się zapisał,
Wnet z innymi stanął wraz.
Znikła szarość z jego rysów
I odmłodził w krótki czas.

Przestał szarym być człowiekiem,
Naprzód społem z ludźmi szedł,
A nagroda, której czekał,
Zaraz się zjawiała wnet.

Bowiem jego ukochana,
Gdy ją o miłości znak,
Znowu prosił na kolanach,
Powiedziała mu ot tak:

— Tyś jest dla mnie, a nikt inny,
Z tobą żyć chcę choćby wiek,
Boś ty teraz młody, zwinnie,
Już nie żaden szary człek...

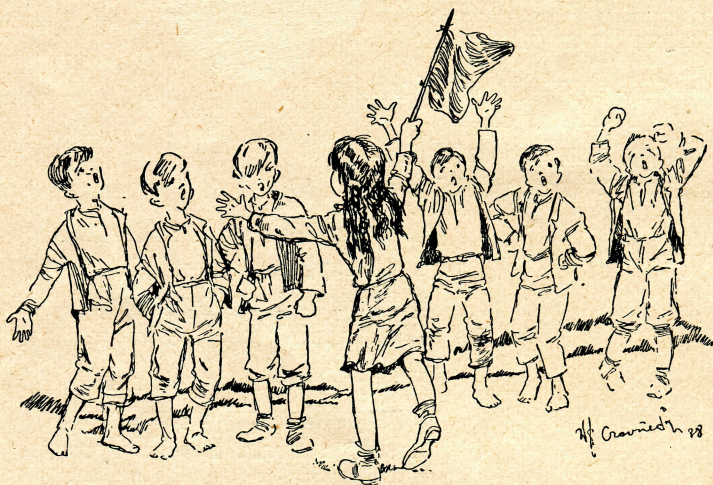


Andrzej Nowicki

Wspomnienie

Czarna Julka była jedyną dziewczyną, którą dopuszczaliśmy do naszego towarzystwa. Zresztą nie było trzeba jej dopuszczać, bo sama się wpychała. A że to była dziewczyna morowa — jak to określił Hanys Konderla — więc zgodziliśmy się bez zastrzeżeń na jej obecność w naszym gronie.

Jej ojcem był Włoch, co ongiś przywędrował za chlebem do kopalni karwińskich. Jej matką zaś Niemka z północnego Tyrolu. Czarna Julka znów twierdziła, że jest Polką, aczkolwiek



miała czarne oczy i czarne włosy, a po niemiecku lepiej mówiła aniżeli sam pan kierownik. I najgłośniej się też wtedy wydzieła, gdy wypadło śpiewać „*Jeszcze Polska*“ pod oknami mieszkania pana kierownika. Była wtedy zazwyczaj ciemna noc, pan kierownik siedział przy biurku i poprawiał zeszyty, my zaś ustawialiśmy się w wielkie półkole i na znak Julki zaczynaliśmy śpiewać. Na despekt panu kierownikowi.

— Niech pęknie, German zatracony, ze złości! — mawiała i skakała z zadowolenia na jednej nodze.

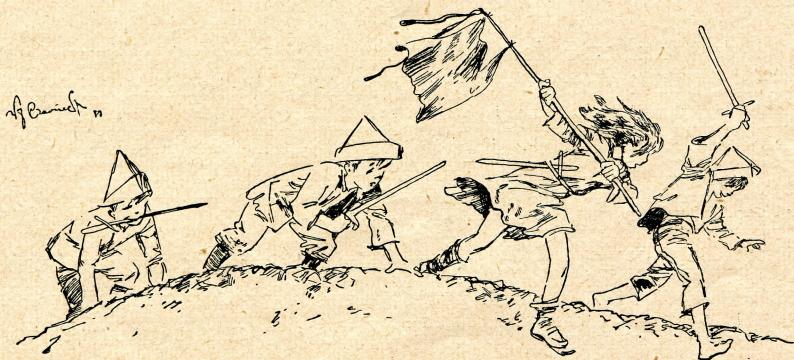
Czym dla rośliny światło, dla ptaka swoboda,
czym jest dla młodych miłość, a dla starców chata,
czym dla rolnika — ziemia, dla żeglarza — woda,
tym dla szczęścia narodu jest ludu oświata.

Pan kierownik nie pękał wprawdzie ze złości, lecz otwierał gwałtownie okno i świecił elektryczną latarką. My uciekaliśmy w zagajniki, pan kierownik zaś narzekał:

— Ja, mein Gott, mein Gott, so eine Bande!...

Przez cały ostatni rok nauki szkolnej chadzaliśmy z czarną Julką na wyprawy budzące zachwyty wśród reszty kolegów i koleżanek. Wyprawy zaś miały przebieg niezwykle urozmaicony. Przede wszystkim były to wyprawy na kopalnię, gdzie na obszernym podwórzu pyszniły się wielkie usypiska najpiękniejszego węgla. Następnie były wyprawy wojenne na hałdę, która stanowiła przedmiot niekończących się sporów i bójek między nami a gromadą chłopców z sąsiedniej kolonii górniczej.

Podczas takiej bójki czarna Julka dokonywała cudów waleczności. Uzbrojona w sztandar uszyty przez nią samą z różnych skrawków materii, biegła na przedzie pokrzykując zapalczywie po włosku lub po niemiecku i zachęcając nas do ataku. Z reguły zwyciężaliśmy. Pokonani wrogowie zmykali z hałdy na złamanie karku, a myśmy potem jeszcze długo święcili triumfy wielkim wrzaskiem i obnoszeniem naszej Julki na ramionach. Czarne oczy jej paliły się wtedy jak ognie, czarne włosy miała rozwiane na kształt czarnych płomieni. Ogromnie uradowana, pokrzykiwała piskliwie i tarmosiła nasze czupryny z zachwytem.



Nie tylko ten uczciwy, kto oddał, co znalazł,
kto cudzego nie ruszy, ufności nie zmyli,
lecz kto doznając szczęścia o tym myśli zaraz,
jak czynić, aby inni też szczęście zdobyli.

Hanys Konderla, który dużo czytał, oświadczył nam pewnego razu, że Julka powinna się nazywać Dziewicą Orleańską. Nikt z nas nie wiedział, kto to była owa Dziewica Orleańska, lecz Hanys nam wytłumaczył.

— To była taka dziewczyna, która była generałem, a prała Niemców pod Grunwaldem... — oświadczył z triumfem, dumny bardzo, że tak dużo wie.

— Ale kiedy pod Grunwaldem był Władysław Jagiełło! — zaprotestował niemniej ocytany Zeflik Motyka.

— To był król. Lecz każdy król musi mieć generałów. A Dziewica Orleańska była takim generałem. Wiecie?...

— Wiemy! — przytaknęliśmy zgodnie, bo nam to się bardzo podobało.

Lecz gdy Julka dowiedziała się, że ją chcemy nazywać Dziewicą Orleańską, oburzyła się mocno.

— Ja wam gwizdzę na jakąś tam Dziewicę Orleańską!... Wiecie!... Jestem czarną Julką i skończone!... A komu się nie podoba, niech powie!... — i zaczęła popluwać w dłonie i rozcierać je.

Trudno nam było prowadzić wojnę z Julką. Orzekliśmy więc jednogłośnie, że Hanys może się wypchać ze swoją Dziewicą Orleańską, czarna Julka zaś pozostanie czarną Julką i skończone.

Potem skończył się rok szkolny i wszyscy rozeszliśmy się po świecie. Jedni poszli do kopalni, drudzy do terminu, niektórzy tylko do szkoły średniej, a co się z Julką stało, nikt nie wiedział. Słuchy nas tylko dochodziły, że teraz z niej wielka dama, że pojechała do jakiegoś wielkiego miasta i że się uczy w jakiejś szkole na kupca czy coś podobnego.

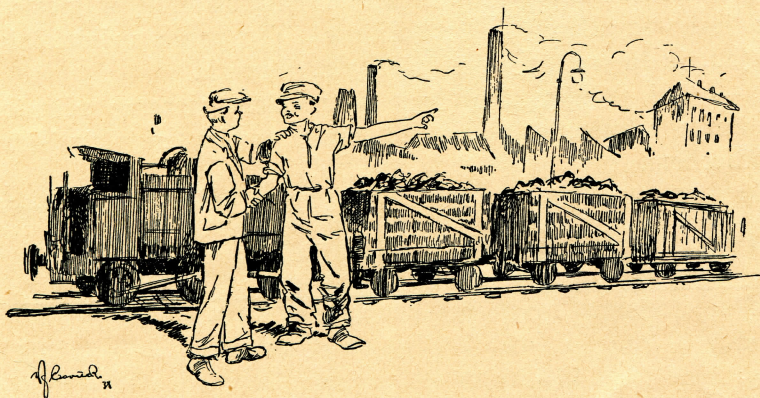
Nie chcieliśmy temu wierzyć, bo nikt z nas nie wyobrażał sobie naszej Julki w roli przekupki czy chociażby panny sklepowej. Przekupkami były grube baby, ogromnie pyskate, pan-

Trzeźwą jest ziemia, nigdy swej drogi nie zmyli,
trzeźwe słońce, a przecież dotąd nie wychłodziło,
trzeźwymi są rzek wszystkich kryształowe wody:
bądźmy tak trzeźwi zawsze jak słońce i źródło.

nami sklepowymi były zaś młode żydówki, szwargoczące tylko po niemiecku i patrzące z wyraźną pogardą na nas młodych.

I znów minęło kilka lat.

Powróciłem do osady górniczej pragnąc spotkać swoich dawnych kolegów, a przede wszystkim dowiedzieć się czegoś bliższego o czarnej Julce. Dużo zmieniło się w osadzie. Nowe domy, nowi ludzie, obcy jacyś, nieznani. Przechodziłem przez tor



kolejowy przy kopalni. Na torze manewrowała mała lokomotywa, przetaczając powoli wagony wypełnione węglem. W końcu lokomotywa stanęła tuż obok rogatki.

— Jak się masz, stary!... — zawołał na mnie maszynista z lokomotywy.

Teraz dopiero poznałem w nim swojego najmilszego przyjaciela, Zeflika Motykę. Uradowałem się szczerze. Umówiliśmy się na prędcę, że po południu spotkamy się pod starym kościołem.

— A co się dzieje z naszą czarną Julką? — zapytałem jeszcze.

Powiedział już Piotr Skarga, że głupi jedynie
Trzęsie się nad swym kufrem, kiedy okręt ginie.
Lecz i dziś mało takich, co z morza odmętu
Pragną wspólnie wydobyć maszt swego okrętu.